

MARGINES

SZKOŁA | UCZNIOWIE | PRASA

CZERWIEC 2011

WAKACJE!

zslmargins@o2.pl



egzemplarz
bezpłatny

podaj
dalej!

fot: Tomek Ciastoń

STREFA FILA
STR. 8

KAŻDY ORAZ
JAK NOGŁ...
STR. 5

SPORT SZANSA DLA KAŻDEGO
STR. 4



WSTĘPNIAK

Piotr Jeziorek

Cześć! Ponownie witam Was na łamach „Marginesu”.

Po miesięcznej, maturalnej przerwie znowu wkładam swoje trzy grosze do miesięcznika wydawanego na korytarzach Łączności. Kto wie, być może ostatni raz, zapewne tak. Przez trzy lata, każdego miesiąca z przerwami w lecie, zapoznawałem się z materiałami, by kreować dla Was wstępniak, przez dwa lata składałem wszystko w całość. Mam nadzieję, że komukolwiek włożona przeze mnie praca, choć w małym stopniu odpowiadała. Przejdźmy jednak do konkretów. Co przygotowali dla Was Koledzy z redakcji? Nie zabraknie wakacyjnej aury! Należy Wam się :). I choć sam smakuję ją od miesiąca, to nie mogę jeszcze powiedzieć, że odpoczywam. Dopatrzyłem się też relacji z dnia sportu, na której jak co roku dochodzi do równego starcia uczniów z nauczycielami – chociaż na boisku mamy szansę :). Nie można narzekać na brak recenzji filmowych, Kastel przyzwyczaił nas, że przed każdym numerem naogląda się filmów, by ustrzec nas przed tymi niewartymi obejrzenia i poleci te godne uwagi. Z ‘wielkimi’ wydarzeniami muzycznymi, nie mam ostatnio styczności, niewiele więc mogę powiedzieć o Eurowizji i przyznam szczerze, nie specjalnie pokwapiłem się do zapoznania z treścią artykułu. Tytuł jednak mówi sam za siebie. Sprawdźcie „Eurowizyjną chałę”. Ostatnio w świecie modne stały się tematy religijne, może trochę naciągam i mam tego świadomość, jednak warto podsyć artykuł o spowiedzi pierwszoklasisty. W Wasze ręce oddany zostaje również kolejny odcinek „Robert – The gangsta”. Każdy orze jak może? A jak Ty wyorałeś na koniec roku? Ilość dopów przewyższa liczbę trój, czy może pnieś się w stronę czerwonego paska (tak, to realne)?

Dalej grzebiecie sami. Na koniec chciałbym wszystkim podziękować za minione trzy lata. Wiele się nauczyłem, a dzięki redakcji moje myśli miały swoje ujście na papierze, docierając do kilku odbiorców. Moja rada - jeśli to czytasz i zastanawiasz się, czy warto pisać dla „Marginesu”, cóż... jestem maturzystą, szkołę mam za sobą, a mimo to nie znikam szybko. To o czymś świadczy. Trzymajcie się !

Wakacje

Ziaj

W końcu już większość z nas czeka na to od września i doczekać się nie może, już za kilka dni rozpoczną się nasze kochane i bardzo upragnione wakacje.

Założę się, że większość z nas będzie je spędzała w pracy, tak aby odłożyć trochę kasy na różne szaleństwa i pod koniec sierpnia wyjść z bilansem, który znajduje się gdzieś na granicy błędu statystycznego, czyli po prostu nie będziemy mieli nic. Trzeba odreagować w końcu te kilkaset dni spędzonych w szkole, jednak apeluję do wszystkich o zachowanie jako takiego fasonu tak, aby we wrześniu przyjść na własnych nogach do szkoły.

Gdzie zamierzacie wyjechać w tym roku? Może morze polskie? Może góry? Ja osobiście poleciłbym Wam nasze piękne morze, jest tam naprawdę wspaniale, jednak ceny nie zachęcają. Góry to dobra opcja, jak ktoś lubi dużo chodzić, a jak się opalać, to polecam gdzieś za granicę, cenowo wychodzi taniej niż w naszym kraju. Problem jest tylko jeden – wojny, rewolucje, itp. Do kilku krajów nie ma się co wybierać, mimo zachęcających cen, można po prostu nie wrócić.

Przyznam Wam się szczerze, że najlepsze wakacje spędza się z przyjaciółmi, gdziekolwiek by się nie było, jeśli do tego towarzyszy nam nasza druga połówka, to po cóż nam jakieś drogie kurorty i inne wycieczki?

Nie będę zanudzał Was długim i nudnym artykułem, w końcu to już prawie wakacje. Życzę Wszystkim, żeby były jak najbardziej zakręcone, tak żebyście zapamiętali z nich jak najwięcej i mieli czym się chwalić we wrześniu.

Z kroniki policyjnej ZSŁ

Wojciech Gajda



ZAGINĄŁ DZIENNIK

33 uczniów w strachu

Zaginął dziennik lekcyjny klasy 2Ib, incydent wydarzył się dnia 1. czerwca 2011 w czasie obchodów Dnia Sportu. Podczas mistrzostw w hokeju na rolkach dziennik tej klasy został pożyczony przez jednego z nieuczniwych bramkarzy, który tym ważnym dokumentem postanowił przysłonić z jednej strony bramkę. Niestety, mimo sprawiedliwości sędziego i dyskwalifikacji całej drużyny z mistrzostw, w czwartek, dzień po zawodach, zauważono, że do

Pokoju Nauczycielskiego wspomniany dziennik nie wrócił. Ktokolwiek mający jakiegokolwiek informacje dotyczące tego, gdzie obecnie znajduje się dokument, proszony jest o niezwłoczny kontakt z Dyrekcją, bowiem uczniom klasy grozi powtarzanie klasy, w przypadku nieodnalezienia zeszytu z danymi.

DLA ZNALAZCY NAGRODA:
szczęściarz na zamówienie!

Eurowizyjna chała

Wojciech Gajda

Zapewne zdecydowana większość z Was, jeśli nigdy nie oglądała, to chociaż wie, że istnieje Konkurs Piosenki Eurowizji, krócej nazywany Eurowizją.

14. maja bieżącego roku odbył się finał już 56. edycji tego koncertu, do którego reprezentantka Polski – długonoga brunetka (przepraszam – łącznościowy

nawyk, że jak tylko się da, to trzeba się delektować) – nie zakwalifikowała się, odpadając razem ze swoją „przecudowną” piosenką po zajęciu... ostatniego miejsca w półfinale. Poza Wielką Brytanią, gdzie jest więcej naszych rodaków niż w Polsce, najliczniej głosowali na nas Gruzini – i dam sobie obie ręce uciąć, że tylko dlatego (jak zresztą w zeszłym roku), że są nam wdzięczni za pseudo-obronę podczas konfliktu z Rosją. Szkoda, że nie są świadomi, że przywódcy naszego kraju nie zrobili tego z sympatii i konstruktywnych argumentów, a tylko dlatego, że... łagodnie mówiąc: nie kochamy Rosjan.

A propos antypatii... W tym roku Eurowizja odbywała się w Niemczech, nic więc dziwnego, że efekty występu Polki wzbudziły wiele kontrowersji. Magdalena Tul (tak nazywa się uroczą pani, która awansowała z „Jaka to melodia?” na europejską scenę) otwierała koncert, co wywołało w niej duży stres podczas „wejścia na żywo”, a to skończyło się słabym wokalem i oczyma zalanymi niemal łzami (no chyba, że to makijaż – sorry, nie znam się). Po opublikowaniu wyników i pogodzeniu się z porażką, w Internecie pojawiła się lawina oskarżeń: a to, że głosować się

dało, a że obraz TV był zniekształcony (i panowie Europejczycy nie mogli podziwiać jej nóg, w tej kwestii akurat im współczuję), że kamery nie pracowały tak jak powinny – długo by wymieniać, a nie stać nas na

śpiewających o pierdołach, o niczym. Na odwrót już chyba za późno – ambitna muzyka nie zostanie na tym koncercie doceniona, bo prawdziwej muzyki słucha teraz nisz, która nie bawi się w wysyłanie smsów w telewizyjnych konkursach mających na celu omamienie widza. To już nawet nie jest komercja, tylko kicz. DNO. Totalne.

Nie będę recenzować i opowiadać o poszczególnych występach ani polecać Wam poświęcenie czasu na obejrzenie ich na YouTube, bo ten czas zmarnujecie.

Lepiej już chyba usiąść przy biurku i te 130 minut poświęcić na naukę matematyki – przynajmniej Was głowa nie będzie boleć przez następne dwa tygodnie i nie będziecie mieli koszmarów sennych. Konkurs Piosenki Eurowizji 2011 zwyciężyła reprezentacja Azerbejdżanu z piosenką „**Running Scared**”, w której w kółko na przemian lecą słowa (w wolnym tłumaczeniu na polski): „Biegnę, boję się...” i „Przyjdź do mnie”. To musiało chwycić za serca dziesiątki milionów Europejczyków... Żal ściska wargi, dlatego już tego nie skomentuję. Tak czy siak, w przyszłym roku koncert odbędzie się w kraju tegorocznych laureatów, czyli... EUROWizja zawita do Azji. Dziwi? Ten konkurs już dawno przekroczył granicę śmieszności, więc mnie nawet już nie. Tak narzekam i narzekam, a przecież nie powinienem obwiniać ani „artystów”, ani organizatorów, tylko aktywnych (głosujących) widzów. Nie dopuszczam do siebie faktu, że aż tylu ludzi może mieć tak spaczony gust i tak zmienić pojęcie muzyki. I czy się o gustach dyskutować powinno, czy nie, to jednak pewne kwestie są widoczne dla rozsądnego, zdrowego na umyśle człowieka na kilometr, a jeśli tak zostanie, to potem nie dziwmy się, że rodzą się kolejne pokolenia Dody, Joli Rutowicz czy Wojewódzkiego. Próżność niestety zwycięża, a prawdziwi artyści nieźle się teraz przewracają w grobach, jak widzą to COŚ – bo inaczej się tego zjawiska nazwać nie da.



dotatkowe strony do „Marginesu” i brutalne zamordowanie kolejnych drzew na potrzeby przerobienia na papier. Madzia (z fajnymi dziewczynami zawsze jestem na „Ty”) poinformowała wszystkich swoich fanów (podobno tacy istnieją, dacie wiarę?), że wcale nie zjadł jej stres, a wszystko spowodowały problemy techniczne z odsłuchem. Eurowizja i Polka w Niemczech. Słowa klucze... brakuje jeszcze tylko informacji o zamachu na naszą reprezentantkę. Polak zawsze poszkodowany i biedny. Jak zwykle dopiero po szkodzie... Po co pchać się w taką szmirę po tylu latach kompromitacji – litości. Z roku na rok każdy wykonawca myśli, że tym razem coś zmieni, a tymczasem kończy się jak zwykle. A nawet jeszcze gorzej.

Grafomańskie teksty zaśpiewane do muzyki skomponowanej na jedno kopyto – to charakterystyka 95% utworów walczących co roku o Grand Prix Europy, a cały proces głosowania to jedna wielka, śmieszna polityka. Ludzie niestety nie oddają głosu na utwór, lecz na kraj i to jest główną przyczyną upadku poziomu tego naprawdę ciekawego przedsięwzięcia na przełomie ostatnich lat. Wszystko, co jest tam prezentowane, można co najwyżej nazwać piosenkami, bez niczego głębszego. Europa musi być bardzo ambitna, skoro na eurowizyjnej scenie znaleźć można jedynie stertę kiczowatych występów, osób przeciętnie

Sport szansą dla każdego

Ziaj

Jak co roku, 1. czerwca w naszej szkole miał miejsce dzień sportu.

Aby tradycji stało się zadość, musiał odbyć się pojedynek uczniów z nauczycielami.

Cała impreza rozpoczęła się o godzinie 9, od przywitania dyrektora, nauczycieli, uczniów oraz różnych gości i sponsorów. Kolejnym punktem było przemówienie Dyrektora, oraz przedstawienie programu całej imprezy. Następnie odbył się pokaz cheerleaderek (niestety dziewczyny nie były z naszej szkoły) i pokaz umiejętności rycerskich (tutaj już pole do popisu mieli nasi szkolni koledzy).

Konfrontacja kadry pedagogicznej z uczniami rozpoczęła się od wyścigu rzędów, (cztery konkurencje: slalom na rowerze, deskorolka, narty oraz lina). Po zaciętym boju okazało się, że jest remis. W kolejnych zawodach – meczu hokeja na rolkach, mimo ogromnego poświęcenia Dyrektora Piskowskiego, który notabene ma chyba jakieś kanadyjskie korzenie, nauczyciele zostali wręcz rozgromieni 2:5. Na końcu tego wspaniałego corocznego pojedynku rozegrano tradycyjnie mecz piłki nożnej, gdzie absolwenci oraz uczniowie kolejny raz pokazali swoją wielkość wygrywając, aż 4:0, a nasz najlepszy bramkarz ZSŁ się po prostu załamał i stwierdził, że chyba pora przejść na emeryturę, miejmy nadzieję, że to były tylko żarty. Cały mecz komentował dla nas ks. Andrzej Gołębiowski, który wykazał się niesamowitym

przygotowaniem do takiego wydarzenia i z całego meczu zrobił jedno wielkie show. Nie podołało się to Dyrektorowi Piskowskiemu, którego to bardzo rozpraszało i nie pozwalało się skupić na grze, więc już podczas meczu apelował, aby zaprzestał swoich komentarzy, lecz to wcale nie zraziło Księdza i nawet powiedziałbym, że zaczął komentować z większym zapalem. Po meczu Dyrektor zaapelował jeszcze raz, aby już nigdy księdzu Andrzejowi nie dawać mikrofonu do ręki.

Uczniowie z różnych klas zmierzali się także w innych konkurencjach, mianowicie w tenisie stołowym, miniaturowej piłce nożnej, streetballu oraz piłkarzykach. Na wszystkich czekało też kilka atrakcji, między innymi kula zorbing, park linowy, ustawianie jak najwyższej wieży ze skrzynek, loteria fantowa (w której główną nagrodę, czyli wycieczkę do Bułgarii wygrał Radosław Jakubowski uczeń klasy 1 Ia), a także bufet, w którym można było dostać różne przysmaki.

Cała impreza zakończyła się przed godziną 13, wtedy to zostały rozdane dyplomy i puchary, jakie uczniowie wywalczyli przez cały dzień. Komentatorami w tym roku było dwóch moich kolegów z klasy 3 Ea Szymon Sadzik oraz Damian Szczypczyk, poprowadzili oni tą imprezę bardzo fachowo, lepszy od nich był tylko Ksiądz Andrzej, który prawdopodobnie od teraz będzie prowadził wszystkie większe wydarzenia w szkole.

Zdjęcia z Dnia Sportu na stronie 8, 9 i 12

Spowiedź pierwszoklasisty

Michał Rak

„Mijają dni, miesiące, mija rok....”, wtórując słowom piosenki

Andrzeja Dąbrowskiego (odświeżonej w ostatnich latach przez grupę Łzy), muszę się przyznać, że ten pierwszy rok mojego pobytu w Zespole Szkół Łączności minął nadzwyczaj szybko.

Ogólnie po roku obserwacji i testów szkoła wypada na plus, poza kilkoma incydentami (TAK do ciebie mówię, TY który przywłaszczyłeś sobie moją całutką paczkę gum[oczywiście Orbit:]) zostawioną na parapecie w sali 119; wiedz, że CIĘ prędzej czy później dopadnę). Korzystając z okazji dokonam małego rozgrzeszenia:

Woźni – Super ludzie poza pewną osobistością (Tak, o Panu pisze), która potrafi napsuć człowiekowi krwi.

„Chodzę do szkoły, koniec roku za pasem, stopnie na cenzurze, tata czeka z pasem...”

Dziewczyny – Siła napędowa nas mężczyzn do tego, aby stawać się coraz lepszymi, a tu niemiła niespodzianka. Nie dość, że dziewczyn jak na lekarstwo, to jeszcze połowa zajęta. Chwała Bogu, że w pobliżu Ronda Matecznego jest tyle liceów.

...I rób-ta co chce-ta, ale najpierw pomyśl-ta, już koniec nauki, błaka mi się myśl ta,...

Pewna fraza, która wryła mnie się w pamięć jak obraz nagiego biustu Dody: „Panowie obudźcie się, to nie gimnazjum”. Słyszałem to tyle razy i od tylu różnych nauczycieli, że nawet, gdyby mnie obudzono o 8:00 rano po imprezie, skacowanego i jeszcze nie w pełni trzeźwego, i tak

powiedziałbym to zdanie bez jednego zająknięcia.

...Że jeszcze tylko: - No co? No nic już nie zostało? To znaczy?...

Wicedyrektor – Z początku postać straszna, wręcz przerażająca, człowiek, na którego widok Cerber łagodnieje i potulnie chowa się do budy, a bramy piekieł otwierają się bez najmniejszego zgrzytu. Po roku? Człowiek, który po prostu wykonuje swoją pracę i trzyma całą szkołę w ryzach. Czasem surowy, czasem żartowniś. Na jego widok nie dostaję już ścisłego gardła i niemożności wypowiedzenia ani słowa, tylko piękny uśmiech „Dzień Dobry” i w głowie jedna myśl: „kogo to dziś przyłapie na paleniu albo braku identyfikatora”.

...Wakacje, znowu są wakacje, na pewno mam rację, wakacje znowu są!

Podsumowując pierwszy rok w Zespole Szkół Łączności można zaliczyć do udanych (przynajmniej ja mogę). Bo dla co poniektórych zdanie: „Spotkamy się w sierpniu”, staje się coraz bliższe sercu i jeśli nie zmieniają postępowania, rok będzie można spisać na straty. Nie dajemy się na ostatniej prostej stłamsić i ciągniemy do wakacji. A gdy w końcu nastaną wakacje, w głowie będę miał tekst innej (bodajże trzeciej już w tym artykule) piosenki słynnego polskiego barda, Norbiego - „Kobiety są aha, aha Gorące....

Pozdrawiam wakacyjnie

P.S. - Śródtytuły pochodzą z piosenki Kabaretu Otto – Wakacje.

Każdy orał jak mógł i wyorał co chciał

Wojciech Gajda

W styczniowym wydaniu „Marginesu” pojawił się mój artykuł zatytułowany „Każdy orze jak może”, w którym wspominałem, że jak zwykle pod koniec (wtedy I semestru) wszyscy nagle przypominamy sobie, że chcemy powalczyć o lepsze oceny, wyprowadzić te złe i w klasyfikacji końcoworocznej powalczyć o jak najwyższą średnią.

W zakończeniu napisałem wtedy, że „wyznaczam sobie właśnie cel, aby zebrać się w sobie. Zobaczymy w czerwcu, co z tego wyjdzie...” – no i teraz „na głos” postaram się to zweryfikować.

W Łączności we wrześniu stukną mi 2 lata – czyli jestem na półmetku edukacji w tej szkole. Jak to szybko leci... Na co dzień, jak na Polaków przystało, narzekamy i pytamy, czy edukacyjna mordęga kiedyś się skończy, a gdy przysiadzie się na chwilę i pomyśli w innej perspektywie, to człowiek uświadamia sobie, jak czas przecieka mu przez palce. Co zmieniło się przez te dwa cykle szkolne, jeśli pod lupę wezmę właśnie siebie w ZSŁ? Najbardziej pozytywną zmianą jest fakt, że... już nie budzę się w tramwaju na oślinionej ręce oparty o siedzenie przede mną. Przywykłem do wczesnego wstawania, tempa edukacji, a przede wszystkim – do szkoły, do społeczności.

Zadowolony jestem, że okres długiej aklimatyzacji przetrwałem, bo nie wyobrażam sobie siebie w innej szkole. Z dnia na dzień robię się coraz głośniejszy, za co pewnie niektórzy profesorowie mają ochotę chwilami trzepnąć mnie książką – zwłaszcza, gdy mi się

buzia na lekcjach nie zamyka. Ale nie o tym miałem w tym artykule...

Zatrzymując się na chwilę przy kwestii „walki” o jak najwyższą średnią, to w sumie zauważyłem, że mało kto robi to dla siebie, wszyscy starają się bardziej dla swoich rodziców. Ja nie ulegam żadnym naciskom i wszystko co robię, robię dla siebie. Co prawda, z tych styczniowych założeń jakieś cuda mi nie wyszły – oj tam, oj tam – (choć jakiś tam krok w przód poczyniłem), ale i tak jestem z siebie i swoich ocen zadowolony. Zresztą, jak na fakt, że prawie w ogóle się nie uczę (bardziej wiedzę staram się wynosić z lekcji), to są one bardzo dobre. Teraz, nie licząc przedmiotów, które w tym roku mam po raz ostatni i oceny z nich powędrują na świadectwo maturalne, z niczego nic nie wyciągam i nie zaliczam – na co sobie zapracowałem przez cały rok, to mam, więc z czystym sumieniem mogę już myślami być na wakacjach. A 2 lata w tej szkole bardzo nauczyły mnie pokory i jeszcze bardziej upewniły w tym, że wszystko co robię względem edukacji, robię dla siebie – więc ani moje życie pozaedukacyjne nie powinno przez szkołę cierpieć, ani odwrotnie. Bezpieczna, rozsądna strategia.

Zawsze jest też tak, że rozumie, że stać nas na dużo więcej i że wystarczy odrobina chęci, żeby zbierać owoce w postaci lepszych ocen, jednak lenistwo z nami wygrywa (lenistwo? może też po prostu obojętność i brak świadomości, jakoby to wpłynęło jakoś znacząco na nasze życie?). Stąd właśnie tytuł tego artykułu – niby wystarczy chcieć coś osiągnąć, jednak w przekładzie na rzeczywistość nie jest to wcale takie proste – trzeba znaleźć sobie jakąś naprawdę dobrą motywację, powód, przez który będziemy się mobilizować przez dłuższy czas i dzięki któremu wyznaczony cel zdobędziemy. Ja chyba od kilku lat jestem na etapie poszukiwania takiej motywacji, bo obecne argumenty często powtarzane przez nauczycieli czy rodziców jakoś na mnie nie działają...

Ukraino! Ojczyzno moja?

Sowilo

Niedziela, 15 maja, godzina 8.30, ze snu wyrwa mnie nieublagany dźwięk budzika.

Kto by pomyślał, że przyjdzie mi wstawać tak wczes w Boży Dzień? Ale kalendarz nie kłamie, dziś jedziemy na Ukrainę. Wprawdzie planowany odjazd jest dopiero wieczorem, ale trzeba przecież wcześniej zrobić jakieś zakupy przed wyjazdem (w końcu jedziemy w inny wymiar wszechświata, nie wiadomo, co jest po drugiej stronie), no i oczywiście się spakować (a jak wiadomo, będąc kobietą, ciężko się zmieścić z tygodniowym bagażem w jednej „małej” walizeczce). Nim jednak człowiek zwlecze się z łóżka (które, nie wiedzieć czemu, za nic w świecie nie chce wypuścić nas ze swoich objęć) i doprowadzi do stanu względnej używalności, okazuje się, że wskazówki zegara pokazują już prawie południe.

Po zrobieniu zapasów i upakowaniu wszystkiego (nawet nie trzeba było siadać na walizce, by ją domknąć, co uważam za duży sukces), czekam na ofia... ochotnika, który zechciał mnie dostarczyć z małej podkrakowskiej wsi na dworzec RDA. Im było bliżej wieczora, tym mniej chętnie oczekiwałam odjazdu. A co, jeśli będzie źle? Punkt 22 autobus na trasie Kraków – Lwów (którego stan już na wstępie zapowiadał ekscytującą „podróż do przeszłości”) opuścił swoje stanowisko i ruszył oświetlonymi ulicami Krakowa. Z podróży za wiele nie pamiętam, ot, ponad 2-godzinny przystój na granicy, resztę najzwyczajniej przespałam.

Rano obudził mnie głos koleżanki: „jesteśmy na miejscu”. Otwieram oczy i co widzę? Deszcz i znajomą okolicę, bloki niczym krakowska Nowa Huta (w której się wychowywałam, więc poczułam się jak w domu), betonowa pustynia. Widać, że czas w tym miejscu się dawno zatrzymał. Tylko literki na sklepach jakieś takie inne, głupie krzaczkę, jakby się nie dało pisać „po polsku”. Na lwowskim dworcu przywitali nas nasi ukraińscy opiekunowie: pan z wąsem, stalowy uśmiech i gość z mafii. Kilka minut i znaleźliśmy się pod internatem, w którym przyszło nam zamieszkać (nigdy, ale to przenigdy nie jeździcie z jakimkolwiek Ukraińcem samochodem, jeśli Wam życie miłe! Kto im w ogóle dał prawo jazdy?). W internacie

mieliśmy do dyspozycji telewizory (You Can Dance po ukraińsku :D), lodówkę (wiedziałam, że faceci dużo jedzą, ale żeby aż tyle?) i farelki (nie sądziłam, że przenośny grzejnik ma jakąkolwiek nazwę, człowiek uczy się przez całe życie), całe skrzydło, nie dawno odremontowane, było nasze.

Chwila na odsapnięcie, rozpakowanie się i pora na śniadanie. Stołówka znajdowała się w szkole, po drugiej stronie skrzyżowania. Jedzenia z pewnością nie zapomnę, uprzedzali mnie wcześniej, czego można się spodziewać, no ale... Śniadanie: makaron ze sznyclem. Obiad: zupa i ziemniaki z kotлетem. Kolacja: kasza z mięsem. I tak przez cały tydzień, z lekkimi modyfikacjami w menu. Wszystko przesłodzone, polane tłuszczem, zupełnie inaczej niż statystyczna polska kuchnia, do której przywykłam (gdzie moje płatki z mlekiem na śniadanie?). Niezabielanej kawy chyba nie wybaczę. Szkoła (czytaj: College Informacyjno-Telekomunikacyjnych Technologii we Lwowie) jest duża, porównywalna z naszą. Tylko u nich 40% uczniów to dziewczyny. Sprzętem wszelakim się chwalili, ale nie wiem, czy lepszy niż u nas, bo ja zwykły informatyk jestem, tylko z komputerami mam do czynienia i się nie znam na tych wszystkich antenach, spawarkach, itp. Tylko szkoda, że wszyscy w tej szkole byli święcie przekonani, że jak zaczną nawijać po ukraińsku, to my wszystko świetnie rozumiemy. Tak, rozumieliśmy co 10 słowo, jeśli akurat podobnie brzmiało ono po polsku.

Dużo zwiedzaliśmy, Stare Miasto, okoliczne zamki, Cmentarz Łyczakowski, kopiec zwany Wysokim Zamkiem, KingCrossa (centrum handlowe, punkt obowiązkowy dla niektórych) albo po prostu spacerować po okolicy. Opisywać tego nie będę, kto zainteresowany, to sobie przewodniki po mieście poczyta. W każdym bądź razie jest co oglądać. Stadion na Euro 2012 się buduje. Nogi wieczorami wchodziły nam do... bolały. Kto przyjeżdża do Lwowa, ten powinien choć raz przejechać przez miasto marszrutką. Czym jest ten dziwnie brzmiący środek lokomocji? Żółtym mikrobusem (TATA Motors) kursującym po mieście, bez określonego rozkładu jazdy czy przystanków, czymś na zasadzie

Malucha wypełnionego 16 pasażerami, sauną na kółkach kosztującą 2 Hrywny (czyli jakieś 70 groszy za osobę). Niezapomniane.

Jeśli woda w boilerze dopisała (w sensie, że w ogóle była, bo gdy w kolejce do łazienki czeka 11 osób, to różnie z tym bywa), to wieczorem można było wziąć prysznic. Łazienki były dwie, połączone otworami wentylacyjnymi. Pół biedy, gdy w drugiej łazience ktoś się mył, można było wyraźnie posłuchać, jak podśpiewuje sobie pod nosem (pozdrowienia dla kolegi wygwizdującego różne marsze i hymny). Gorzej, gdy akurat ta druga osoba korzystała z toalety. Domyślić się można, dlaczego. :) Co do toalet, przebojem są te na tzw. Małyszka. Nazwa mówi chyba sama za siebie, w wielu miejscach na mieście można je spotkać.

Drodzy Panowie, informacja dla Was. Ukraińki nie są takie ładne, jak krążą plotki. Nóg nie gola (widać, cenią sobie naturalne futerko), piersi nie mają. No dobra, może i są szczupłe oraz na okrągło w szpilkach latają, ale to nie jest przecież najważniejsze. Bierzcie Polki, bo lepsze, polska jakość!

Powrót do domu minął podobnie jak przyjazd do Lwowa, tylko na granicy dłużej trzymali. Choć było miło i chcemy znowu odwiedzić Lwów w przyszłym roku, to i tak we własnym domu, w swoim łóżeczku, najlepiej.

Czego nauczyła mnie ta wycieczka? Wiem, jak powiedzieć po ukraińsku mojemu chłopakowi, że go kocham, umiem policzyć do 7, więcej *ja ne znaju*.



Tam gdzie nie można rozwiać duchów przeszłości, czyli podsumowanie bieżącego sezonu koszykarzy ZSŁ

Jazz

Pozostało 10 sekund do końca spotkania. Koszykarz z ZS Gastronomicznych nr 2 trafia swój ostatni rzut osobisty, wysuwając swój zespół na 2 punktowe prowadzenie.

Trener Przemysław Cienkosz prosi o czas. Kilka chwil na złapanie oddechu, „Kończ” rozrysowuje akcje, uspokaja i motywuje swoich zawodników. Następuje wznowienie gry. Po podaniu piłkę otrzymuje najbardziej zasłużony dla łącznościowej koszykówki gracz, Mateusz Krutewicz. Chce dograć do obwodowych, jednak żaden z nich nie znajduje się na czystej pozycji. Pozostało 5 sekund „Krutki” musi rzucać. Piłka odbija się od obręczy i trafia w ręce Filipa Pasternaka. Agresywna obrona przeciwników robi wszystko, aby przeszkodzić mu w zdobyciu punktów. Filip, mimo że faulowany, oddaje celny rzut. Staje na linii wolnych, jest maksymalnie skupiony, wie, że od niego zależą losy spotkania. „Filson” mierzy długo i spokojnie. Rzuca i... trafia! Zwycięstwo w ostatnich sekundach gry!

Tak zakończyło się jedno ze spotkań I ligi licealiady chłopców w koszykówce. Zawodnicy Łączności wygrali fazę grupową, akcentując swoje zwycięstwa dużą różnicą punktową oraz osiągając najlepszy bilans w lidze. 2. miejsce należało do „Gastronomika 2”, z kolei na 3. lokacie uplasowało się XXIV LO. Ostatnią drużyną, która dostała się do dalszej fazy rozgrywek, byli koszykarze VII LO, z



którymi ZSŁ miało zmierzyć się w walce o finał.

Pomiędzy fazą grupową a playoffs licealiady nastąpiły rozgrywki Superligi. Turniej ten miał wyłonić drużynę, która będzie reprezentować Kraków w zawodach wojewódzkich. Do rywalizacji stanęły 4 szkoły: XII, VII, XIII LO oraz ZS Łączności. W Superlidze mogli startować zawodnicy grający w klubach. Pierwszymi rywalami Łączności byli koszykarze XIII LO. Dzięki świetnej grze Mariusza Kałwy po emocjonującym spotkaniu ZSŁ odniosło zwycięstwo. Kolejnym przeciwnikiem okazała się drużyna XII LO, która została łatwo pokonana przez podopiecznych Przemysława Cienkosza.

O tym, kto pojedzie reprezentować Kraków, miał zadecydować mecz pomiędzy Łącznością a VII LO. Niestety zawodnicy ZSŁ musieli uznać wyższość drużyny klubowiczów z

„Siódemki” i zadowolić się drugim miejscem.

Tuż po Superlidze przyszedł czas na playoffs licealiady. Przeciwnikiem okazała się „ukochana” przez Łączność „siódemka”. Zwycięzcę tego półfinału miał wskazać dwumecz. Pierwsza potyczka zakończyła się remisem (!), zatem wszystko zależało od drugiego spotkania. Bardzo słaba skuteczność oraz kontuzja (dwie skręcone kostki) Mateusza Krutewicza spowodowały, iż drużyna Łączności 1 punktem uległa VII LO, a właściwie jej jednemu zawodnikowi. Niesamowicie szybki, straszący warunkami Michał Bogusz był nie do zatrzymania w całej licealiadzie. Sprostał mu jedynie zdrowy „Krutki”, jednak uraz w półfinałach nie pozwalał mu efektywnie bronić.

Porażka w półfinale koszykarzom Łączności pozwoliła jedynie na walkę o 3. miejsce. Rywalami o najniższą lokatę podium okazała się drużyna XXIV LO, która przegrała w drugiej parze z ZS Gastronomicznych nr 2. XXIV broniła się przez 3 kwarty, lecz w ostatniej odsłonie ZSŁ złapało rytm i bez problemu uporało się z przeciwnikiem. Finał pomiędzy VII LO a „Gastronomikiem 2” od początkowego do końcowego gwizdka przebiegł pod dyktando eliminatorów ZSŁ.

Ostatnim przystankiem w tym sezonie dla koszykarzy ZSŁ będzie Memoriał im. Kaczkowskiego dla klas 1 i 2. Możliwe, że sprawią na tym turnieju miłą niespodziankę. Trzymajcie kciuki!

Strefa Filmu

kastel

„Zły Porucznik”

Bardzo długo nie widziałem dobrego filmu kryminalnego do momentu, gdy zobaczyłem ten film. Od samego początku zachęciła mnie do tego okładka płyty DVD. Utrzymana była ona bowiem w mrocznym klimacie noir. Potem wraz z oglądaniem filmu było jeszcze lepiej. Akcja dzieła zaczyna się tuż po przejściu huraganu Katrina w Nowym Orleanie. Sierżant Terence McDonagh, ratuje z więzienia tonącego więźnia, za co dostaje awans. Dzięki temu otrzymuje on sprawę morderstwa całej rodziny afrykańskich emigrantów oraz ból pleców. Wraz z trwaniem filmu twórcy „Nosferatu - Wampir” towarzyszymy bohaterowi w drodze do upadku, ponieważ popada on w uzależnienie od vicodinu, narkotyków, hazardu oraz długu. Wszystko to sprawia, że w sierżancie narasta agresja i ukazuje on nam swoją ciemną stronę...

Tak się prezentuje akcja filmu dla przeciętnego człowieka, lecz jeżeli postaramy się przyrzeć dokładniej, zobaczymy, że jest to film o tym, jak przewrotne i zaskakujące jest życie.

W kwestii obsady powiem, że została dobrana świetnie. Niezawodny jak zawsze Nicholas Cage dał postaci ciekawą formę, choć fryzjera, który go strzygł, powinni skazać przed sądem z wyrokiem dożywotniego zakazu wykonywania zawodu. Partnerującą mu na planie Eva Mendes, grająca prostytutkę, użyczyła jej tylko świetnego ciała. Dodatkowo Val Kilmer od siebie dorzucił tylko znane nazwisko, bo niemalże tam nie grał. Najprzyjemniejszym zaskoczeniem była rola rapera Xzibita. Grał sporo, świetnie, a został jakby... pominięty. Muzyki tam wiele nie ma, ale za to jak już jest, to pasuje jak ulał. Stare rockowe piosenki nadają wszystkiemu to „coś”.

Film polecam fanom Nicholasa Cage, bo prezentuje on tam swój styl, który możecie zobaczyć często w jego filmach. Tak więc zachęcam i polecam, miło spędzone 115 minut.

„Czyngis-Chan Mongol”

Jeden z największych przywódców oraz wojowników Dalekiego Wschodu. Ktoś, kto podbił połowę świata. Jest to w sumie jego biografia, która dostała Nagrodę Akademii. To jest śliczne ambitniejsze kino, którego większość z was nie obejrzy. Film nie skupia się na aspektach wielkich bitew i wspaniałych zwycięstw. Tu bardziej chodziło o samego Chana oraz jego relacje z najbliższymi, jego oddanie zasadom, tradycji oraz wierze w Boga. Film jest o nim, nie o jego czynach.

Egzotyczne zdjęcia stepów, bogate i realnie odtworzone kostiumy czy sceneria wiosek nadają obrazowi, klimat dzięki któremu zatapiamy się w akcję i lądujemy w Chinach. Fakt, faktem mistycyzm - i gloryfikacja Chyngis-Chana ukazują stosunek twórców do wielkiego wodza. To jest ich pokłon.

Film jest niezły. Wiem, że nikt go nie obejrzy. Mam nadzieję tylko, że dobrze się Wam czytało.

„Artur i Miminki”

Teraz czas na film animowany Luca Bessona. Filmy takowe są nie tylko przeznaczone dla małych dzieci. Przykładem na to jest cała seria „Shreka”. Jego już znacie, tak więc przedstawię Wam Artura. Artur to prosty chłopaczek mieszkający na wsi u babci, jego dziadek zaginął gdzieś, nie wiadomo gdzie. Jego rodzice mało się nim przejmują, babcia popada w długi, a zły biznesmen chce przejąć ich działkę. Jedynym ratunkiem jest to, że dziadek, tuż przed zaginięciem, zakopał rubiny w ogrodzie. Dziadek zostawia wskazówki, a że jego wnusio to całkiem rozgarnięty jest, podąża do magicznej krainy Muminków... znaczy Miminków. I tu zaczyna się spektakularna animacja. Bo do tej pory to był film sensu stricto.

Film ładnie wykonany, fabuła całkiem ciekawa. No, ludzie przecież to bajka, Braci Grimm też byście chcieli ukrzyżować? Ku pocieszeniu. Bawcie się dobrze, ja idę oglądać kolejne części.



ZDJĘCIA:
Tomasz Ciastoń
Dominik Płodzień



„Rozmowy nocą”

Czas drogie dzieci na polskie kino. Marcin Dorociński – najzdolniejszy aktor na polskiej scenie w prostym i sympatycznym filmie romantycznym. Bynajmniej nie twierdę, że to jest komedia romantyczna. Ot, historia jednej pary, jak to oni się poznają, zakochują, przezwyciężają problemy, a na końcu tuż przed wyciemnieniem, wszyscy żyją długo i szczęśliwie. Jak chcecie więcej szczegółów, to czytajcie:

ONA szuka kogoś, kto da jej dziecko, więc zamieszcza ogłoszenie w gazecie, którą często możecie dostać za darmo na przystankach, ON sam właściwie nie wie, czego chce. Tak więc późno w nocy dzwoni ON do niej i sobie rozmawiają i coraz bardziej sami wiecie co.

Chłopaku! Obejrzyj to ze swoją dziewczyną. Dziewczyno! Jeżeli Twój chłopak z Tobą to obejrzał – bądź dla niego miła i nagroź go!

„Honey”

Jessica Alba – Koniec recenzji. A nie. Żartowałem. Powiem Wam tyle, że to film typu: „Step Up”, na schemacie od zera do bohatera. CUDOWNA DZIEWCZYNA umie tańczyć, dostaje szansę, ale ona nie dla siebie to robi, to wszystko dla dzieci z Bronksu. Wszyscy czarni, a biały reżyser to zło. Muzyka w filmie jest fajna dla ludzi lubiących hiphopowe klimaty. Ja obejrzałem ten film przypadkowo. I oglądanie najseksowniejszej kobiety świata przez 90 minut ratuje wszystko. Możecie się śmiać, ale serio. Jessica nawet z gniota potrafi zrobić przyjemne dla oka widowisko. Oglądajcie Wojny Gwiazdne, młodzi padawani, teraz na TVP2 w każdy weekend. Czubaka też tam będzie.

„Wszyscy jesteśmy Chrystusami”

Film jest jakby kontynuacją „Dnia Świra”. Wielki niestety zawód. Nie mam na myśli tego, że zawiodłem się na aktorach, bo ci zagrali wybitnie, w szczególności Andrzej Chyra. Mam na myśli to, że zabrakło tego czegoś, co było w pierwszej części. Zamiast gorzkiej komedii, dostajemy potężnie smutny dramat. Marek Kotowski ukazuje tu destrukcyjny wpływ alkoholu i uzależnień na rodzinę oraz życie. Temat poważny oraz smutny. Świetnie zrobiony i przekaz tego, że każdy z nas jest Jezusem na drodze krzyżowej, jest widoczny jak na dłoni. Mimo tego, ten przekaz do mnie nie przemawia. Wolę ten drugi, który też jest w filmie widoczny: nie ważne, co się dzieje, zawsze są dokoła twoi najbliżsi.



Jak zostać...?

Hubert Pięta

Dzisiaj postaram się wyjaśnić, jak zostać kimś, kto ma bardzo wielką rację bytu podczas wakacyjnego okresu.

Wiadomo, słońce, ciepło, można przy szpanować nowymi ubraniami i odchylić kawałek skóry.

Więc dzisiaj na stół chirurgiczny trafia **POKEMON!**

Zacznijmy od ubioru. Jak ubrać się na pokemona? Tutaj już kwestia Twojej płci.

Mężczyzna:

Obowiązkowo podkoszulek polo w poziome paski, mogą być jakieś napisy i tak dalej. Jednak nie sugeruj się ilością tych pasków (one nie oznaczają twojego IQ, więc nie podniesiesz swego ego mając 200 takich pasków). Spodnie koniecznie dżinsy, takie nie-worowate, nie-rurkowate, takie w sam raz. Buty? Mogą być albo jakieś sportowe szmaciaki (koniecznie białe) lub lakierkowane półbuty. Więc jeżeli już zaopatrzyłeś się w wymienione wyżej ubrania, to musisz wiedzieć, że taki ubiór nie czyni Cię jeszcze pokemonem. O tym zadecyduje regulamin zachowania, ale o tym później. Jeszcze sprawa dodatków: żel wskazany w ilości 1 kg/ 3 kępki włosów i skóra spalona od solary.

Kobieta:

Tutaj sprawa jest prosta. Trzeba mieszać w hurtowych ilościach kolor różowy z białym. Włochate szaliczki, kozaczki (najlepiej takie kończące się przy pupci), paski do spodni, rękawiczki, okulary. Cokolwiek, co wygląda słitaśnie i jest białe/różowe. Więc głównie chodzi o kolor, ale mile widziane są podkoszulki odsłaniające pępek z

zardzewiałym kolczykiem (czasem się zdarza, że kobieta po prostu lubi, jak się ją polewa środkiem przeciw rdzy, ale legendy głoszą, że istnieją takie, co każą się szczotką drucianą szorować, odlot!). Dodatki: koniecznie białe włosy i najlepiej taki pospolity tatuaż nad tyłkiem, jakieś skrzydełka albo cuś), solarka oczywiście obowiązkowa. Tak samo jak w przypadku facetów, taki wygląd nie czyni Cię jeszcze pokemonem... chociaż, kto wie... w każdym razie bądź pewna, że jeżeli tak wyglądasz, to Twój ukochany albo będzie dressem, albo właśnie pokemonem.

To teraz zajmijmy się regulaminem bycia pokemonkiem. W punktach, aby było łatwiej zrozumieć i tak dalej.

1. Wymowa twoją wizytówką, więc mów szybko i niewyraźnie, omijaj szerokim łukiem znaki przestankowe.
2. Mów bez sensu. Zawsze.
3. Bądź hipokrytą.
4. Krytykuj inne pokemony, że są bardziej pokemoniaste od Ciebie.
5. Pamiętaj, że tylko ty jesteś tym jedynym, słitaśnym, najlepszym pokemonem na świecie. To podstawa.
6. Jeżeli zastosowałeś się do punktu 1, to pamiętaj, żeby mówić jeszcze bardziej pokemoniasto. „Sz” zamieniaj na „sh”, „cz” na „ch” i tak dalej.
7. Podczas pisania używaj cyfer i innych znaków, np. fr@J3r, !mpR3za etc.
8. Rób celowo błędy ortograficzne. S o wiele lepiej wygląda z

kreseczką, tak samo jak o, c, e, a.

9. Rób sobie zdjęcia. W lustrze. Wykrzywiając ryj, jak się da.
10. Potem chwal się tymi zdjęciami.
11. Koniecznie śmiej się jak Doda. Nieważne czy jesteś facetem, czy babką.
12. Spędzaj czas w centrach handlowych. Jeżeli jesteś z przedmieścia, to lansuj się w jakimś miejscowym pasażu, np. Tesco.
13. A jeśli masz pecha i jesteś ze wsi, to pozostaje ci... hmm.. no cóż... monopolowy albo obora (w jednym i drugim poczujesz się jak u siebie).
14. Chyba ty!
15. Jeżeli nie rozumiesz, to zacznij czytać od nowa.
16. Spoko, ja też nie za bardzo łąpię.
18. Jeżeli masz zadatki na pokemona, to nie zauważyłeś, że nie ma punktu 17.
19. Musisz być krejzolem.
20. Znaczący musisz być mocno chory na umyśle, żeby być takim pokemonem, więc zostając nim, nie licz na jakiś wielki szacunek ze strony otoczenia.

No, tak że już wiemy mniej więcej, jak zostać pokemonem. Kto chce, to zostanie, kto nie, to nie. Ale co z tego. Wakacje idą. Kto by to chciał czytać :) Udanego wypoczynku wśród pokemonów! YO!

Robert - The Gangsta

Odcinek 4: Poniedziałek (2/2) – "Dzień rozliczenia"

Hubert Pięta

W poprzednim odcinku:

Robert leży w szpitalu. Po utracie przytomności miał wizję, w której słyszał głos mówiący o bardzo złych rzeczach, które mają się wydarzyć. Między czasie do pokoju szpitalnego wpada Murzyn postury goryla i masakruje Roberta. Rozpoczyna się walka o życie.

Robert, chwyciwszy przedmiot podobny do jego pistoletu, postanawia z niego wystrzelić, ale okazuje się, że to tylko pojemnik na próbki moczu. Mimo biegnącego w jego stronę wielkiego czarnucha, Roberta bardziej przejmuje teraz fakt, iż ma całą rękę w swoim żółtym eliksirze. Nagle napastnik zatrzymuje się, patrzy z obrzydzeniem na mokrą rękę swojej ofiary i sięga po papierowy ręcznik stojący na półce.

-Twoja ręka. Śmierdzieć. Ty chcesz wytrzeć? – rzekł goryl.

Robert z chęcią skorzystał z tej usługi, dało mu to złudną nadzieję na przetrwanie. Ale chwilę potem przekonał się, że jego napastnik po prostu nie chciał sobie butów pobrudzić podczas wymierzania mocnego kopniaka prosto w twarz.

Tymczasem przed szpital podjechał najlepszy kolega Roberta, Karl. Wsiadając z nowiutkiego auta marki GMC, od razu wiedział, że coś tutaj nie gra. W końcu otwarty na oścież czarny Hummer z chromowanymi felgami i z trzema ziomalami uzbrojonymi po zęby, stojący pod szpitalem to jednak nie jest częsty widok. Karl wręcz biegiem udał się w stronę recepcji.

-Witam panią... Robert, taki gangsta, gdzie leży... 208?... Wielki czarnuch?... Dobrze... Fajne cucky kochanie...

Robert usiłuje wyczołgać się z pokoju. Krew ciekąca z jego twarzy uniemożliwia mu płynne oddychanie. On jednak wie, że nie uda mu się uciec. Dlatego zmienia szybko swoje zamiary i postanawia odnaleźć swoją broń w miarę możliwości. Nic innego mu nie pozostało. Wizja śmierci bez walki go przerażała. Żył jak fujara, często wpadał w bezsensowne kłopoty, nie budził strachu na ulicach. Ale jeżeli walczyć, to do ostatniego tchnienia.

Karl biegł po schodach, ponieważ super technologia udostępniona tej instytucji medycznej pozwalała tylko na wywieszenie tabliczki na drzwiach windy z napisem „Sorry ziom, nie działa”. Gdy dostał się na czwarte piętro, zobaczył dwie pielęgniarki, które próbowały się dodzwonić na policję, lecz wspomniana wcześniej technologia pozwoliła tylko na podniesienie słuchawki, bo sekundę później owa słuchawka pieściła lekko prądem. Pokój numer 208 znajdował się na końcu korytarza. Na całym piętrze było słychać odgłosy zaciętej walki. Karl nie myśląc, wyciągnął zza paska swojego Desert Eagle.

-Ciężki ten złom... ale gangsta to gangsta... – powiedział, odbezpieczając broń.

Pobiegł w stronę pokoju. Ale przybył o chwilę za późno.

Pięć godzin wcześniej, zawszona melina:

Trzech Murzynów, jeden wyjątkowo wielki, siedzą przed stołem ładując naboje do swoich „zabawek”.

-Jesteś pewien, że tego chcesz? – pyta jeden z ziomali.

-Tak. Nikt nie zadzierać z ja i z moja kobieta.

-I jak zamierzasz to rozegrać?

-My. Wsiadamy do Hummer. Jechać do szpital. Wy czekać przed wejście. Ja iść go rozwalić. Jak ja nie wrócić do dziesięć minuta, wy iść do pokój 208 i go rozwalić.

Do pokoju wchodzi czwarty ziomal trzymając w rękach ciężką wersję kałacha z magazynkiem bębnowym.

Ciąg dalszy na następnej stronie...



-Słyszałem, że twardy z niego kawał gangstera... Może się przydać coś „grubszego”. A ty, olbrzymie, z czym na niego idziesz, ha?
Wielki czarnuch pokazuje zwykły pistolet.
-Ty mieć jakiś kompleks wielkości? Ja mieć mięśnie, ale jak on już zacząć błagać o życie, to ja go po prostu zastrzelić.
-Tru.
-Word! – powiedzieli wszyscy razem.

Czas rzeczowy, szpital:

W momencie, gdy Karl był już jedną nogą w pokoju 208, padł głośny strzał, ułamek sekundy później padły kolejne dwa. Widok w pokoju był przytłaczający. Robert leżący na podłodze we własnej kałuży krwi, z zakrwawioną twarzą i dwiema dziurami w klatce piersiowej. Jeszcze oddychał, wydając wywołujące ciarki na plecach charknięcia. W jego ręce był wcześniej dany mu w prezencie nowiutki Glock 18, z którego jeszcze leciał dym powystrzałowy. Przed nim stał wielki gość postury goryla z raną postrzałową w brzuchu, mierzący Robertowi tym razem w głowę. Lecz Karl był szybszy.

Wycelowanie.

Głowa na muszce.

Palec ciągnie za spust.

Potężny odrzut spowodowany nabojem 357 Magnum.

Huk w całym szpitalu.

Upadające ciało na podłogę.

Karl podbiega do konającego Roberta.

-Robert, zostań ze mną, błagam cię!

-Nikt ci nie pomoże... Jesteś zdany na siebie... Od ciebie zależy, co się dalej stanie... – wykrztusił z siebie Robert.

To były jego ostatnie słowa.

Na czwartym piętrze został już tylko Karl, wydając przeraźliwy krzyk rozpacz. Po chwili usłyszał, że grupa ludzi idzie w jego kierunku szczękając zamkami karabinów.

„Od ciebie zależy, co się dalej stanie...”

Zestawienie wyników dnia sportu:

UNIHOKEJ: nauczyciele –

uczniowie

PIŁKA NOŻNA: nauczyciele –

uczniowie

STREETBALL: 1. kl 1 Ti

2. kl 1 eA

TENIS STOŁOWY:

1. Mariusz Smuga 1iB

2. Wojciech Paciorek 2iB

3. Maksymilian Wróblewski 2iB

MINITURNIEJ PIŁKI NOŻNEJ:

1. kl 2K

2. kl 1eA

PIŁKARZYKI ŚWIETLICOWE:

1. Tomasz Tyrąła i Norbert Noder

2. prof. A. Kozłowska i prof. S. Sumera



Gazetka szkolna ZSŁ Margines

Nakład własny

Redakcja w składzie:

Paweł Kastelik
Wojciech Gajda
Hubert Pięta
Piotr Jeziorek
Michał Jazowski
Piotr Ziajka



Opieka/konsultacja/korekta:

mgr Bogusław Bogusz

e-mail: zslmargins@o2.pl

http://www.tl.krakow.pl/o_szkole/media_szkoln/gazetka__margins/

!UWAGA CZYTELNICY!

Szukamy osoby na stanowisko:

Dziennikarz/Reporter

Praca polega na napisaniu artykułu, na dowolny temat.

Za każdy opublikowany artykuł płacimy wysoką nadprogramową oceną z języka polskiego.

Szczegóły w gabinecie polonistycznym u

mgra Bogusława Bogusza.

Nie czekaj! Zgłoś się już dziś!